

Moje bliskie spotkanie z wyreżyserowaną przez Krzysztofa Nazara „Nie-Boską komedią” Zygmunta Krasińskiego skończyło się tak, że zrobiłem ostre pranie, po którym poczułem coś istotnego...

Otóż, wyłazłszy z bębna automatycznej pralki poczułem, iż w królestwie włosa mego zapawałoby spory burdel. Nie zdziwiło mnie to. W końcu nie od parady posiadam sprzęt, którego finalne odwirowywania są wręcz mordercze. Wyłazłem, poczułem, co poczułem, po czym w lustrze sprawdziłem pocucie, choć miałem z tym mały kłopot, gdyż lustro leżało na kuchence gazowej, szkłem do ognia, a na tekturowym odwrocie lustra wolno zwęglały się sadzone buty plus pocięta w plasty terakota. Kuchenka stała w miejscu telewizora, a tam, gdzie kiedyś było lustro, ekranem do ściany wisiał telewizor. Ustawiona na sztorc wanna tkwiła na miejscu kuchenki

czam jej ogon w pudełku czarnej pasty do butów, czynię to, gdyż pióru memu zachciało się pływać w wypełnionym atramentem akwariu, czynię to i wypastowaną rybką piszę słowo: **ciemność**.

U Nazara nawet sznurek jest ciemny, nie do pojęcia, o ile to sznurek, a nie gumka. W scenie rozmowy w domu wariatów Dorocie Segdzie (Żona) wyrasta z głowy ów sznurek, wyrasta i wrasta w blat stołu, na którym siedzi Segda i nie wie, co mówi, zaś Roman Gancarczyk (Mąż) celnie gra, że sznurek to pikus po prostu. Otóż – nie jest to pikus! Jak i nie jest pikusiem żadne z przysłówiowych 854 również ciemnych i nie do pojęcia olśnień inscenizacyjnych Nazara. W tym trzygodzinnym, postmodernistycznym grochu z kapustą gubi się jasna myśl, o ile założymy, że w ogóle kiedyś tam była. Cóż ma symbolizować zakotwiczona Segda? A Stefan Szramel jako z lekka pedastyczny Filozof? Szramel po-

nych demaskatorów rzeczywistości, którzy z takim przejęciem od paru lat klepią podobne banały. Feler w tym, iż Nazarowi wystarcza sama kalkomania. Słowacki pisze gdzieś o *ubóstwieniu wieprzowości życia*. Jak to się stało, iż reżyser, tak mocno zszty z pojęciem konstrukcji, naraz poprzestaje na dojmująco płaskim pokazywaniu tejże *wieprzowości* wyłącznie poprzez „wieprzowość” sceniczną? Jakim cudem zgodził się, by bałagan świata oddawać bałaganem teatralnym? Kiedy mu z głowy wyleciało prawo kardynalne, że mianowicie wszystko, a może zwłaszcza bałagan, musi być w teatrze skonstruowane jak błyszcząca krawędź brzytwy?

Rybka zaczęła nagle ruszać pyszczkiem, jakby mówiła: *powučaj mnie*. Wącham i niczego nie czuję. Ona nawet rybą nie pachnie. Wącham siebie wypranego. Znowu nic. Owszem, wszystkie kolorki mam znakomicie zachowane, ale pachnę ni-

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Kantata na śmierć rybki

i śpiewała słynną arię Królowej Nocy, w łazience, w ustawionym nogami do góry biurku, zażywały kąpieli telefon, radio i płyta z nagraniami fug Bacha, fotele całkiem spokojnie odkurzały pokój za pomocą wieszaków, zaś kwiaty siedziały przed kuchenką gazową, żarły popcorn i oglądały historię zwęglających się sadzonych butów na terakotowym bekonie. Świeże jaja wyszły na jesienny spacer, a gdzie był i co robił właściwy bekon – tego już nie pamiętałem, gdyż już nie panowałem nad sytuacją. Owszem, sprawdziłem pocucie, w czarnych kryształach zwęglonych na lustrze pierwiastków zobaczyłem, że włos mój rzeczywiście jest w sporym niedładzie, ale włos mój to był przyszc. Całe me domostwo trzeszczało w szwach, znalazłem się w kłopotliwym położeniu, bo do dzieła Nazara, do myśli Nazara zbliżyć się chciałem po linii *mimesis*, pragnąc do imentu pojąć jego świat – w swój wprowadziłem totalną demolkę, zdekomponowałem go, postawiłem już nie na głowie, ale na uszach, zdekonstruowałem, absolutnie – jak mawiają fachowcy – rozpełniłem wszystkie sensory, pozwoliłem, by przeszedł przezeń tajfun szalonego Jacquesa Derridy – i co? I nic. Z domu uczyniłem kalkę scenicznego świata Nazara, a w zamian znalazłem myśl oczywistą, że w takich okolicznościach przyrody jakakolwiek jasna myśl jest wykluczona. Tak, pojąłem świat Nazara. W środku domu, zdemolowanego na modłę zdemolowanego w „Starym” Krasińskiego, chwytam za jeszcze żywą rybkę i ma-

kazuje pupkę odzianą w marzenie każdego polskiego męża, czyli w czarne stringi, nogi zaś spowite ma w samonośne pończoszki typu kabaretki. Czy jak naraz Szramel pada na schodach i bije czołem w ścianę, to oznacza, że go stringi nieludsko piją, czy też co innego ów rodynek oznacza? A kuriozalne akwarium, które co i raz pojawia się i znika, i w którym w celach niedocieczonych taplają się jakieś półnagie dzierlatki? A kaskader, który pięknie i celnie skacze spod sufitu na stertę kartonowych pudeł? A same te pudła – co z nimi? A piramida z krzesła? A muzyka technopodobna? A telewizor na szczycie krzyża, pod którym ktoś sterczy udając ukrzyżowanego? A... Dość, nie mogę tego dalej ciągnąć, bo rybka nie wydoli – i co wtedy?

Zresztą, nie o wyliczankę, nie o potwierdzenie wizjoner-skiego szaleń Nazara tutaj chodzi. Chodzi o metodę, która się dramatycznie płaska okazała. W pomieszczeniu w programie do spektaklu eseju – *no-men omen* – „Dekonstrukcja” Tadeusz Nyczek słusznie sugeruje, że zamiarem Nazara było pokazanie na scenie świata, który Nazar widzi, gdy wyjrzy przez okno. Brawo – i tak trzymać! Już palicho, że świat dzisiejszy maluje się Nazarovi jako totalne szaleństwo, absolutna karnawalizacja, jako ciemna magma donikąd prowadząca, w której pogubione zostały wszystkie hierarchie, wartości i sensory, słowem – palicho, że Nazar nieprzytomnie kroczy po linii przyjętej przez wszystkich naszych domorosłych teatral-

czym. Nie czuć mnie człowiekiem. No, właśnie... Jestem jak sceniczny świat Nazara – krocie kolorków, form, obrazków, numerów najdziwniejszych, a wśród tego dobra wszelakiego legion aktorów, którzy nie pachną człowiekiem. Więc o czym tu jeszcze mówić? O historiozoficznej wizji świata u Krasińskiego? O pseudodyskusji, którą z nim prowadzi Nazar, doszczętnie niwelując tajemnicę? Po co głądząc o nieprzytomnie wirującym bebnie inscenizacyjnym, o jego cudnie dla oka roztańczonych pustce, skoro pod sceniczną nieobecność człowieka o teatrze mówić w ogóle nie da? Oto Hrabia Henryk (Gancarczyk) w ostatecznej rozmowie z Pankracym (Krzysztof Globisz). Nie ma Gancarczyka, nie ma Globisza. W powietrzu zawisa zapach farby drukarskiej. Nie ma Krasińskiego. A co jest? Rzeźczywisty koniec „Starego”? Wielka, ale tylko chwilowa pomyłka? Moja rybka zdechła. Pochowam ją w pudełku po paście, a później odgruzuję mieszkanie. To jest.

*

Od redakcji: Zwrócił nam uwagę Paweł Głowacki, iż we wcześniejszym felietonie „Kto zamordował?” frazy, jakie wyszły mu spod komputerowej myszki, brzmiały: „Śmigasielwicz inteligentnie przyjął przydługą tytuł i lisio spolszczył ksywę, w związku z czym na scenie mamy po prostu »Króla Edypa«, po prostu Sofoklesa. Owszem, coś nam to przypomina, dla psychicznego zdrowia lepiej jednak, żeby nam to niczego nie przypominało”. Wydrukowaliśmy inaczej – zatem przywracamy wersję autora.